Zeszyt 16. Lwów dnia 10. Czerwca 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

IV.

(C. d.) Za młodu prawie nigdy nie wiemy do czego mamy istotne powołanie. Napoleon sądził, że będzie wielkim poetą, a został wielkim wodzem. Pan Konstanty Czarkowski mieszkając jeszcze ongi na Wołyniu, był głęboko przekonany, że jego wiedza klasyczna włoży mu na skronie wieniec nieśmiertelności, tymczasem do końca życia został dziwakiem, którego nikt nie znał; nakoniec Juljan upadłszy przy maturze sam już wątpił by z niego co było, a jednak okazało się z czasem, że na dnie jego duszy drzemał talent artystyczny. Wprawdzie nie był to talent twórczy, mogący człowieka daleko zaprowadzić, ale zawsze był taki, który nas uczy jak patrzeć na dzieła sztuki. Dzięki temu talentowi, prędzej niż się sam spodziewał, nauczył się rozróżniać najpierw główne, potem pomniejsze szkoły malarskie. Powoli wczytując się w dzieła przeróżne, których mu wuj dostarczał, i przypatrując się obrazom, których tyle wisiało i leżało w pokojach dziwaka, zaczął rozumieć tajemnice prawdziwego artyzmu, w czem mu w wysokim stopniu było pomocne wrodzone piękna poczucie.

Wielu sądzi, a zdanie to jest powszechnem, że tylko artysta sam może obce dzieło sztuki należycie ocenić. Ogół nie wie, że talent twórczy jest inny a krytyczny inny. Pierwszy buduje, drugi rozbiera. Można mieć pierwszy w wysokim stopniu rozwinięty, a nie mieć o drugim należytego wyobrażenia. Zdarza się wprawdzie; że oba są czasem ściśle z sobą złączone, lecz zdarza się tak rzadko, że jest to prawie zjawiskiem nadzwyczajnem. Poeta, malarz, rzeźbiarz, budowniczy, ma własne poglądy świadczące o jego oryginalności, odrębne od innych zamiłowania, nawet kaprysy, do których chciałby nagiąć obce dzieła sztuki; krytyk natomiast musi być zimnym, bezstronnym, a patrząc na utwór pracy duchowej, o swoich własnych zamiłowaniach całkiem powinien zapomnieć. Gdyby artyści byli dobrymi krytykami, mielibyśmy krocie arcydzieł. Tworząc szli by oni wiernie za wskazówkami krytyki i większych błędów nigdyby nie popełniali. Tymczasem o ileż inaczej się dzieje!

Juljan nie był artystą, ale zmysł krytyczny miał nadzwyczajny. Dość mu było spojrzeć na jakie płótno, aby od razu odkryć jego ujemne i dodatnie strony. Wprawdzie pierwsze odkrywał nierównie prędzej, niż drugie, łatwiej bowiem dojrzeć złe niż dobre, ale ponieważ zamiarem jego było kupować i sprzedawać obrazy, więc i to mogło być dla niego bardzo korzystne. Szukając i widząc plamy nawet na słońcu, wiedział przynajmniej, że księżyca nigdy za słońce nie kupi.

Po dwóch latach strawionych na czyszczeniu obrazów wuja, które sumiennie werniksem pociągał, by lepszy połysk miały; po przeczytaniu kilku dzieł sztuce poświęconych i usłyszeniu z ust starego dziwaka miljona uwag najrozmaitszych, z których jedna połowa drugiej się sprzeciwiała, w głowie bowiem pana Czarkowskiego nic nie było uporządkowane — po dwóch tedy latach, Juljan otrzymawszy od wuja kilkaset złotych ze swojego spadku po rodzicach, zaczął działać na własną rękę.

Nie raz chodząc po mieście, widywał on żyd-

ków noszących obrazy ciemne, brudne, czasem w ramach połamanych, najczęściej bez ram i gdzieniegdzie podziurawione, które oni kupowali za bezcen na sprzedażach przymusowych. W antykwarniach spotykał się także z malowidłami, które pył razem z książkami pokrywał, a na tandetach nie jedno dzieło już zapomnianego artysty wyglądało smutnem okiem z pomiędzy starych rupieci. Mając kilkaset złotych w kieszeni, puścił się tedy w podróż po mieście. Trzy dni chodził, szukał, przypatrywał się, targował, nareszcie kupił za bezcen trzy obrazki, które naprędce w swoim pokoju odczyściwszy, zaniósł wujowi pokazać.

Starzec oczy przetarł.

— Van-Dyck! Niech cię nie znam, Van-Dyck! To któryś książę, jako dziecko! — zawołał oglądając głowę chłopczyka ustrojonego w duży kołnierz koronkowy. — Van-Dyck! Gdzieżeś ty go znalazł chłopcze?

— W antykwarni Igla... ale niech wuj zgadnie co za niego dałem?

— Sto guldenów... a może i sto pięćdziesiąt... Chociaż nie, tyle nie masz w całym majątku.

— Trzy guldeny wuju kochany — odpowiedział śmiejąc się Juljan.

— Niech cię nie znam! Jak widzę ty lepiej umiesz robić interesa niż ja sam, choć na tem zęby zjadłem. Ja za tego Van-Dycka, co tam wisi w drugim pokoju, dałem czterysta rubli i jeszczem się cieszył, żem go tanio kupił. A nie jest od twego piękniejszy, nie!

— Niech kochany wujaszek przypatrzy się teraz tym flamandom... nie wielkie, prawda, ale piękne. Obadwa kosztują mnie dwadzieścia pięć guldenów. Żyd, który je miał na tandecie, musiał się od kogoś dowiedzieć, że nie są one bez wartości, więcej bowiem cenił i lepiej się targował niż antykwarz.

— Flamandy! Niech cię nie znam. flamandy! — mówił dziwak do siebie, obrazki przy oknie oglądając. — Jak widzę nauka moja w las nie poszła... rozumiesz się chłopcze, rozumiesz! Szkoda że nie ma podpisów... Ale ja dojdę przez porównanie. Dobrześ się spisal, wyśmienicie! Chodź, niech cię pocałuję!

Od owego dnia nieszczęsnego, w którym Juljan przepadł przy maturze, wuj dopiero pierwszy raz pocałował go w czoło. Znaczyło to, że mu przebaczył i pogodził się z nim zupełnie. Aby zaś zgodę czemś uwiecznić, odkupił od siostrzeńca Van Dycka, płacąc mu za niego dziesięćkrotnie, więc trzydzieści guldenów. Juljan nie bardzo był tem ucieszony, wiedział bowiem, że od miłośnika obrazów dostałby znacznie więcej, ale ponieważ należało wujowi sprawić przyjemność, oddał mu zatem obraz bez namysłu, pieniądze zaś schował. Staruszek uradowany powiesił sobie portret chłopczyka nad łóżkiem.

Gdy Juljan pierwszy raz nadmienił wujowi, że radby kupować i sprzedawać obrazy, uczynił to głównie, by gniew starca przebłagać. Wiedząc, że po grece i łacinie wuj najbardziej sztukę ukochał, udawał z początku do niej zamiłowanie, wszakże powoli, sam nie wiedząc jak to się stało, w rzeczy samej ją pokochał. Całemi też godzinami rozmawiał ze starcem o artystach i ich dziełach, w dzień zaś biegał po mieście szukając obrazów. Wujaszek cieszył się tem niezmiernie i rozmawiając z siostrzeńcem, zapominał o Homerze i Wirgilim.

W owych czasach wyobrażenia o sztuce zaczęły nawet w Galicji zmianie ulegać. Dawniej każdy szlachcic uważał artystę za rzemieślnika; teraz wielu już przyznawało, że ten kto obrazy tworzy, wart więcej niż malarz pokojowy, że rzeźbiarz stoi wyżej od kamieniarza robiącego nagrobki, a budowniczy musi trochę więcej umieć niż prosty cieśla. W tym samym czasie w pismach głoszono, że we Wiedniu żyje młody człowiek, z nazwiska Artur Grottger. który jako rysownik jest genialny; że w Krakowie mieszka młody malarz, Jan Matejko, który swoim geniuszem wszystkich olśniewa; wreszcie że w Warszawie są już malarze, jak Suchodolski, Simler i Kossak, których kraj poważa dla ich talentów. Dzięki temu zwrotowi, Juljan uważał się prawie za kapłana sztuki, w czem go wujaszek utwierdzał.

Inaczej atoli rzecz się miała z materjalną stroną przedsięwzięcia. Obraz znaleźć i dobrze kupić, to Juljan umiał doskonale, ale nie umiał go sprzedać. Choćby mu było przyszło z głodu umrzeć, nie poszedł by był nigdzie z obrazem. Pod tym względem był on Polakiem, nieodrodnym synem swoich przodków. Handlować i żebrać, to w ich przekonaniu wyrażenia równobrzmiące. Z początku sprzedawał też wszystko wujowi, lecz gdy ten raz i drugi kupna odmówił, wymawiając się to brakiem drobnych pieniędzy, to ciasnością w swojem pomieszkaniu, musiał nad tem zastanowić się, co dalej będzie. Kto wie, czy byłby wymyślił co praktycznego, gdyby mu w tem los nie był dopomógł.

Raz przyszedł do niego jeden z kolegów szkolnych, który także przepadł przy maturze, z pochodzenia Niemiec, Storch z nazwiska, a zamieniwszy kilka słów powitania, zaczął go prosić, by przez swoich znajomych wyszukał mu jaką posadę. Gdy się rozgadali, dowiedział się Juljan, że Storch podjął by się pracy najprzykrzejszej, byle z niej żył przyzwoicie. Pisanina w urzędzie, którą w najlepszym razie mógł otrzymać, dawała tak mało, że nie sposób było z niej wyżyć. Po niejakiem wahaniu, bojąc się czy kolegi nie obrazi, zaproponował Storchowi, by się zajmował rozprzedażą jego obrazów, za co mu przyrzekł stosowne wynagrodzenie. Jakże się atoli zawiódł

przyjemnie, gdy Storch z radości aż podskoczył. To, co on, Polak, byłby sobie za ubliżenie poczytywał, tamten uważał za zajęcie bardzo piękne. Zresztą handel nie był mu obcym, ojciec jego bowiem miał mały sklepik w jednym z większych miast prowincjonalnych, syn zatem był z tem wszystkiem ostrzelany co handel żąda i przynosi.

— Bardzo ci jestem wdzięczny — mówił Storch ze łzami w oczach, rękę mu ściskając — Teraz nawet mojej rodzinie będę trochę dopomagać. Ponieważ zajęcie, które mi łaskawie ofiarowałeś, nie wymaga dnia całego, więc przyjmę posadę dyetarjusza w Dyrekcji skarbowej, którą bez trudności otrzymam, w wolnych zaś chwilach będę obrazy sprzedawał. Trzeba tylko mój kochany, byś jak najprędzej dał mi spis wszystkich miłośników sztuki... Pójdę do każdego i każdemu coś pokażę. Później dowiemy się kto na prowincji lubi obrazy. Będziemy dawali na wypłatę i ręczę ci, że wszystko pójdzie wyśmienicie. Zrobisz majątek!

Jak powiedział, tak uczynił. Ze spokojem i gorliwością, które rasę niemiecką znamionują, Storch wziął się do dzieła. Co dzień coś sprzedał, co dzień przynosił pieniądze. Juljan chodził, szukał, kupował; Storch zaś odwidzał jednego miłośnika sztuki po drugim i u każdego coś zostawił. Wkrótce atoli okazało się, że Lwów sam jest miastem za małem do większego działania w tym kierunku. Amatorowie byli wprawdzie, zresztą było ich jeszcze dosyć w całej Galicji, lecz brakło obrazów mających wartość jakąkolwiek. Wtedy Juljan za poradą Storcha, postanowił puścić cię trochę w świat, do Krakowa, Warszawy, gdzie spodziewał się odszukać krewnych i znajomych swoich rodziców, a później, jeżliby środki były po temu, chciał pojechać do Wiednia i Monachjum, w końcu zaś do Włoch i Francji. Tymczasem Storch miał być jego pełnomocnikiem we Lwowie.

Wujaszek dowiedziawszy się o zamiarach siostrzeńca, bardzo je pochwalił, a dawszy mu nie tyle pieniędzy, co rad ojcowskich, w drogę go wyprawił. Po kilku tygodniach Juljan wrócił z Krakowa i Warszawy. Podróż nie była bezowocna. Chociaż obrazów nie wiele kupił, za to zawiązał stosunki z rozmaitymi ludźmi i ajentami, w Królestwie zaś odwidził wszystkich krewnych. Wtedy to był pierwszy raz w Zarzeczu, gdzie go serdecznie przyjęto. Po tej podróży nastąpiły dalsze do Wiednia i Monachjum, a gdy p. Czarkowski dostatecznie się przekonał, że jego siostrzeniec mając zdolność, pracę i wytrwałość, może na tem polu daleko doprowadzić, nawet wielki zrobić majątek, mimo że nie był jeszcze pełnoletnim, oddał mu całą schedę, która, jak wiadomo, wynosiła sześć tysięcy złotych polskich. Nie był to wprawdzie wielki kapitał, ale ponieważ Juljan nie płacił ani za mieszkanie, ani za utrzymanie, które od wuja dostawał, więc i z temi pieniądzmi, doliczywszy do nich to, co dotąd na obrazach zarobił, a czego nie zmarnował, z natury bowiem był oszczędny, mógł rozpocząć przedsiębiorstwo na większe rozmiary. Storch był ciągle jego prawą ręką. Z obowiązków, które przyjął na siebie, wywiązywał się najsumienniej.

Tak minęło lat kilka.

Storch urodził się kupcem i przedsiębiorcą. Codzień przychodził mu do głowy nowy pomysł, a jeden był lepszy od drugiego; do handlu zaś miał takie zamiłowanie, że sprawami Juljana zajmował się jak swojemi. Ilekroć było potrzeba nie dojadł, nie dospał, póki wszystkiego nie zrobił. Pod względem uczciwości był także nieposzlakowany. Można mu było powierzyć miljony, pewnie by grosza nie brakło. Dla tych cnót Juljan bardzo go poważał i w nagrodę zyskami prawie się z nim dzielił.

Gdy Storch do tego doprowadził, że już miał stosunki w całym kraju pozawiązywane, przyszedł do Juljana i tak przemówił:

— Jak Kolumb Amerykę, tak ty odkryłeś nowe przedsiębiorstwo, którego dotąd nikt nie wyzyskał, a to najważniejsze. Interesa idą dobrze, rok rocznie po odtrąceniu wszystkich wydatków, masz przeszło tysiąc dwieście guldenów czystego dochodu, co jak na początek jest bardzo wiele, ale ponieważ zdaniem mojem bez trudności możemy doprowadzić do czterech i pięciu tysięcy, więc przyszedłem do ciebie z propozycją następującą: idź do wuja i poproś go, by ci pożyczył kilka tysięcy guldenów.

— Na co? — zapytał Juljan zdziwiony.

— Zaraz ci powiem. Do pieniędzy, które ci da wujaszek, dołożysz swoje, najmiesz sklep w rynku, urządzisz go przyzwoicie i będziesz miał prawdziwy salon dla sztuki. Do sklepu prędzej przyjdą amatorowie, zwłaszcza przejezdni, których na ulicy łapać nie mogę i tym sposobem dochody co najmniej się potroją. Prócz tego musisz znaleźć sobie stałych ajentów w Wiedniu, Warszawie i Kijowie. To ostatnie miasto jest szczególnie ważne. Nie mało tam ludzi bogatych i sztukę kochających, trzeba się zatem zawinąć, by nas kto nie uprzedził.

Juljan słuchał głową kręcąc. Gdy kolega mówić przestał, tak odpowiedział:

— Co do ajentów, tych chętnie wyszukam, ale co do sklepu, to zamiarowi twemu muszę się sprzeciwić.

— Czemu?

— Bo widzisz, mnie to jakoś nie na rękę...

— Rozumiem cię — odrzekł Storch. — Tyś szlachcic!

— Wcale się tego nie wypieram — potwierdził Rossowski. — Jestem szlachcicem i jako taki mam

dosyć narowów i przesądów. Takimi my już zostaniemy do końca życia. Zresztą choćbym nawet i innych był przekonań, nie mógłbym ich zmienić przez wzgląd na moją rodzinę. Czy sądzisz naprzykład, że mój wujaszek, mimo że z całym światem zerwał oddawna, i dziś jedynie z molami żyje, czy myślisz, że on by pozwolił, aby gdzieś tam nad sklepem moje nazwisko wisiało? Przenigdy! On by mnie za to wyklął, wydziedziczył. W formie dotychczasowej mogę bawić się w kupca, nikt bowiem nie wie, że obrazy, które ty sprzedajesz, są moją własnością, ale sklep otwierać... nie! to niemożebne!

— A Potoccy czyż nie mają sklepów? — zauważył.

— Potoccy! Co im wolno, nie wolno Rossowskiemu. Gdybyś mój drogi należał do tej warstwy, z której ja pochodzę, łatwo byś to zrozumiał. Przyznaję, że jest to przesąd śmieszny, nawet szkodliwy, gdyby bowiem szlachta nasza inaczej postępowała, miałaby więcej pieniędzy i nie ginęła by tak jak ginie, lecz co chcesz, ja jeden nie zmienię ogółu... rad nie rad muszę się do niego zastosować, zwłaszcza gdy mnie do tego zmuszają moje stosunki familijne.

— Jeżeli tak — odrzekł Storch — to ci inny projekt podam. Otwórz sklep pod moją firmą, sam zaś bądź jego właścicielem. Wtedy o tobie nikt wiedzieć nie będzie, prócz sądu handlowego, który cię w swoje księgi wpisze.

— Może i nie zła rada. Zastanowię się nad nią.

— Staraj się ją w życie wprowadzić, a pewnie nie pożałujesz. Szczęście rzadko puka do drzwi naszych, ale gdy zapuka, choćby najlżej, trzeba natychmiast otworzyć, inaczej za drzwiami prędko się znudzi i pójdzie do sąsiada.

— Dziękuję ci za dobrą radę — odpowiedział Juljan — pomyślę i z wujem się rozmówię.

Wuj usłyszawszy projekt Storcha, nazwał go genjalnym, co Juljana w wysokim stopniu zadziwiło, i przyrzekł mu pożyczyć pięć tysięcy guldenów. Wpierw atoli chciał pomówić z jakim prawnikiem, aby się upewnić, czy Juljan mógł mieć sklep pod cudzą firmą. Gdy go pod tym względem uspokojono, wezwał siostrzeńca do siebie.

— Niech cię nie znam, jak doskonale wszystko się układa! Sklep będzie twój, chociaż Storch da mu swoją firmę. Opiszesz się dokładnie, abyś potem nie miał z nim nieprzyjemności, bo kto tam wie, co w trawie piszczy. Dziś jest najzacniejszym, jutro może się zmienić.

— Ja za niego ręczę, wujaszku.

— Ręcz jeno za siebie mój drogi, nigdy za drugich, bo zbankrutujesz. Trzeba zatem opisać się jak najlepiej.. Co do mnie dam ci pięć tysięcy guldenów, na sześć od sta, tyle niosą mi papiery, a ty dla porządku i pamięci rewers mi wystawisz. Wprawdzie tego co mam do grobu nie zabiorę, i ty jeźli tylko będziesz mi się powodował, zostaniesz moim wyłącznym spadkobiercą, wszakże zanim to nastąpi, trzeba żebyś się wpierw nauczył dobrze rządzić i oszczędzać. Dam ci więc pięć tysięcy na sześć od sta...

Juljan podziękował serdecznie. W kilka dni po tej rozmowie, otrzymawszy pieniądze i wujowi rewers wystawiwszy, zajął się urzeczywistnieniem pomysłu Storcha. (C. d. n).

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Oczy stróża błysły złowrogo, ręka mimowoli sięgała po pieniądze i cofała napowrót, cała twarz była wykrzywiona wyrazem chciwości i pożądliwości. Alison powoli drugą taką paczkę wyjmował z kieszeni.

Walka z sumieniem krótko już tylko trwała, stróż podniósł się z ławki, a wyciągając ręce i nogi, że aż stawy trzeszczały, odrzekł ponuro:

— Zresztą na pana odpowiedzialność. Trudno szczęście odpychać, jak samo w ręce lezie. Pójdziemy sobie w świat z Fanchetą i kto nam co zrobi! Uważaj pan dobrze, wskażę panu ścieżkę tak pewną, że i ślepy jej by się domacał. Sam nie pójdę, bo mnie tu za nadto dobrze znają — stróż uśmiechnął się chytro.

— Pójdziesz pan główną ulicą parku, choćby kto i spotkał można przecież powiedzieć, że używa się po prostu świeżego powietrza; na końcu alei jest kląb świerków, pośrodku statua marmurowa Flory, trochę na lewo grota w skale wykuta. Tak wydaje się na pierwszy rzut oka; jest to raczej rozpadlina, wiodąca ścieżką wąską ale pewną na szczyt skały. Za dziesięć minut będziesz pan na wierzchu, zkąd obejmiesz okiem całe góry i znajdziesz się po za kordonem wojska naszego. Stoi tam samotnie ogromna niebotyczna sosna, od niej rozchodzą się dwie drogi. Droga w lewo prowadzi do wsi N*, w prawo a raczej wprost przed siebie do miasteczka S*. Zbłądzić nie można w żaden sposób.

Żaden szczegół nie uszedł uwadze Alisona, słuchał z takiem natężeniem, jakby chciał każde słowo wyryć w pamięci na zawsze. Gdy stróż skończył, oczy Alisona błysły dziko, wyrazem złośliwego tryumfu, drugą paczkę banknotów położył obok pierwszej, a lekko głową skinąwszy, rzekł z cicha:

— Dobrze, wiem już wszystko, a tu wasze pieniądze, rachujcie.

Stróż drżącą ręką zaczął przeliczać szeleszczące rozkosznie banknoty, wreszcie zdjął czapkę.

— Dziękuję panu! Są w porządku.

— Wasze własne bezpieczeństwo a nawet życie, będą mi rękojmią. Gdybyście mnie zdradzili i was rozstrzelają. Czy to rozumiecie?

— Wiem o tem doskonale. Bądź więc pan spokojnym.

— Jeżeli jutro wrócę, nie mówiliśmy o czem innem,

tylko o paleniu na kominie, spałem całą noc na górze w pokoju.

— Dobrze, dobrze, spuść się pan na mnie, wszak tu o moją skórę główmie idzie.

— A więc do zobaczenia!

— Szczęść Boże! — stróż wykrzywił grube usta uśmiechem na pół chytrym, na pół głupkowatym i do samych drzwi gościa odprowadził.

W pokoju Ludwika palił się też ogień jasny na kominie, lecz nie zastał w nim nikogo prócz jednego Jakóbka.

— Doktor Buthot cały ten czas przesiedział — raportował tenże — czekając na pana porucznika. Odwołali go do wsi. Ten żołnierz, co ośm dni temu prowadził nas przez skały, ponoś dogorywa.

Wiadomość ta dotknęła niemiło Servignego.

— Więc odszedł doktor? A tak pragnąłem z nim mówić.

— Pan doktor też sobie tego bardzo życzył. Powiedział mi, żebym przygotował płaszcz i nabił dobrze pistolety, że pan porucznik musi iść jeszcze tego wieczora i że — tu głos poczciwego chłopca zadrżał od wzruszenia — i że mnie pan porucznik ten raz ze sobą nie weźmie, jak mię brał zawsze, gdy miał w nocy patrolować.

— Nie, tym razem cię nie wezmę — odrzekł Servigny roztargniony, chodząc wzdłuż pokoju w głębokiem zamyśleniu. — To już wszystko jedno — rzekł z cicha sam do siebie — dlaczego nie mam jemu powiedzieć, z czem chciałem zdradzić się przed Alfredem. Jaque!

— Panie poruczniku!

— Być może, że tej nocy będzie napad na zamek. Wszak dostaliście rozkaz, żeby być gotowymi na wszelki wypadek?

— Tak jest. Od dziesiątej do dwunastej w nocy mam z czterma ludźmi pilnować parku od strony gór, oprócz tego warty wszędzie zdwojone.

— Dobrze! Przedtem zobaczysz niezawodnie doktora. Wiele mi na tem zależało mówić z nim dzisiaj. Przepadło! Muszę odejść i nie mam już czasu zboczyć do wsi, żeby się z nim widzieć. To, co ci powiem, powtórzysz mu słowo w słowo, tylko jemu jednemu, nikomu więcej... rozumiesz?

— Nikomu więcej! rozumiem.

Słowa następne zdawały się z trudnością wychodzić z ust Ludwika, jakby wewnętrzną walkę staczał sam z sobą, po chwili zaczął znowu:

— Gdyby przyszło do walki, on jeden nie będzie w niej brał udziału, a Prusacy znani są ze swojej brutalności i nieoględności, dla nich nie ma nic świętego. Powiedz doktorowi niech strzeże miss Forest, ile będzie w jego mocy.

— Tę amerykańską miss? — powtórzył Jakób powoli.

— Tak! tak! — Servigny znowu się zawahał, wreszcie uczucie wzięło górę nad innemi względami, a słowa popłynęły szczerze i gorąco.

— Powiedz mu, że da mi ostatni dowód przyjaźni, broniąc jej. Miss Forest była mi najdroższym, jedynym skarbem na całym świecie! Niech jej strzeże choćby z narażeniem życia własnego!

Jakób oniemiał przerażony. To więc było rozwiązanie zagadki, dlaczego jego profesor i miss amerykańska tak się trzymali zdaleka od siebie, tak zdawali się nieprzyjaźnie usposobieni jedno dla drugiego. W głowie nie bardzo mocnej poczciwego chłopca, szumiało i mąciło się wszystko, nie mógł złapać wątku w myślach różnorodnych, wywołanych zwierzeniem jego pana ukochanego.

— Podług rozkazu, panie poruczniku! — odrzekł Jakób machinalnie, stojąc w miejscu jak skamieniały. Okiem bezmyślnem patrzał na swego pana, jak pałasz przypasywał, oglądnął uważnie pistolety, a wreszcie zarzuciwszy płaszcz na ramiona, ku drzwiom zmierzał. Gdy już był na progu tychże, ocknął się Jakób z osłupienia i jednym susem też przy drzwiach się znalazł.

— Panie profesorze! — zawołał.

Ludwik stanął i popatrzył ze zdziwieniem na Jakóba. Przez cały czas ich służby wojskowej, nie nazwał go profesorem, nie zapomniał o tytule „porucznika", wymawiając zawsze to słowo z pewnym przyciskiem i najwyższem zadowoleniem. Zkąd mu się wzięło tamto nazwanie, przypominające ich pobyt w mieście L*? Dziwnie odbiło mu się ono o uszy. Dawniej tak był nawykł do niego, teraz już mu tak obco brzmiało. Oczy Servignego wpatrywały się badawczo w Jakóbka; był on blady jak ściana, a twarz jego zwykle bez wyrazu i dobrodusznie uśmiechnięta, zdradzała cierpienie i wielki niepokój.

— Panie profesorze! — głos Jakóba był drżący i pełen nieśmiałej, lecz niemej i gorącej prośby. — Czy musisz pan iść sam jeden? Nie mógłbyś mnie wziąć ze sobą? W żaden sposób nie?

— Nie mogę! — odrzekł stanowczo Ludwik. — Co ci raptem przyszło do głowy, mój Jakóbie? Zdaje mi się, że podczas wojny mieliśmy dość czasu oduczyć się tej dziecinnej bojaźliwości. Zresztą zapominasz, żeś dziś do patrolowania w parku przeznaczony.

Jakób westchnął z głębi piersi.

— Nie wiem co mi jest, ale przez cały ciąg wojny nie było mi tak ciężko na sercu. Przedtem nie czułem tak tego, ale teraz, gdy pan masz już odchodzić, krew mi się lodem ścina. Panie profesorze! — wybuchł nagle rozpaczą — ja już pana pewnie więcej nie zobaczę!

Ludwik patrzał ciągle smutno i milcząco na niego. Rzecz dziwna! I ta silna, pierwotna natura, na którą zwykle żadnego wpływu nie miały wrażenia moralne, w której olbrzymio rozwinięta fizyczność głuszyła zupełnie stronę duchową, w tej chwili oddawała się również przeczuciom. Czy był to raczej instynkt wywołany przywiązaniem bezmiernem do swego pana? Servigny strzegł się pokazać słabości najmniejszej. Wiedział, że najlżejszy dowód rozczulenia z jego strony, przemieni tęgiego, nieustraszonego olbrzyma w słabe, szlochające dziecię.

— Jesteś dziecinnym Jaque! — odpowiedział prawie z niechęcią, przymuszając się do uśmiechu. — Czy to pierwszy raz narażam się na niebezpieczeństwo? Wstydź się Jacque! Zdaje mi się nawet, że płaczesz?

Jakób nic nie odpowiedział, tylko duże, jasno niebieskie oczy utkwił w obliczе swego pana. Wzrok Jakóbka zwykle bezmyślny, stał się w tej chwili jasnowidzącym; odczuł sercem różnicę jaka zachodzi między słowami Servignego a wyrazem jego twarzy dziwnie smętnym i rzewnym. W oczach swego pana wyczytał pożegnanie na zawsze; zapomniał też o subordynacji, o służbistości wojskowej, której tak ściśle przestrzegał dotąd, widział jedynie przed sobą swego ukochanego profesora, którego tyle razy dzień i noc w chorobie pielęgnował, nad którym czuwał tyle lat z czułością i troskliwością matki dla dziecka własnego. Życie sieroce biednego chłopca nie znało innej treści i innego celu, jak kochać i służyć panu ukochanemu. Załkał głośno, a dwa strumienie łez po licach popłynęły.

— Panie profesorze! — zawołał z boleścią — dałby Bóg, żeby mnie na miejscu pana zastrzelono! Ale że tej nocy będzie nieszczęście, czuję to dobrze. Jeden z nas padnie niezawodnie!

Ludwik uśmiechnął się łagodnie i rzewnie. Wiedział, kto ma być tym jednym. I na nim także przywiązanie poczciwego chłopca wywarło silne wrażenie. Zapomniał w tej chwili o różnicy moralnej i społecznej, jaka ich dzieliła, a pamiętał jedynie o bezsennych nocach, których tyle Jakóbek strawił przy jego łożu boleści, o tysiącznych dowodach jego miłości, wierności, które nie dają się li pieniądzmi zapłacić, które mogą wypełnić przepaść najgłębszą, gdy idzie o pożegnanie ostatnie. Porucznik zarzucił swoje ramiona na szyję poczciwego sługi, a całując go w czoło i tuląc jego głowę do piersi z czułością brata, szepnął mu:

— Dobranoc Jaque! Cokolwiek się stanie, pamiętałem o tobie. Doktor Etienne ma u siebie potrzebne papiery. A teraz żegnaj mi mój drogi chłopcze, już dla mnie czas najwyższy odejść!

To mówiąc wypuścił z objęć Jakóbka a skinąwszy mu jeszcze na pożegnanie głową i ręką, znikł za drzwiami. Biedny Jakób, posłuszny jak zawsze, pozostał na miejscu. Z głową na piersi spuszczoną przystąpił do okna. Przy świetle księżyca widział wyniosłą postać, płaszczem owiniętą, kroczącą śmiałym krokiem wzdłuż terasy, słyszał kroki coraz słabiej i słabiej odzywające się z oddali. Gdy zupełnie ucichły, wybuchł na nowo głośnym serdecznym płaczem, biedny chłopiec czuł aż nadto dobrze, że widział swego pana po raz ostatni.

X.

— Otwórz miss Jenny! Nie odsyłaj mnie od drzwi twoich pod pierwszym lepszym pozorem. Idzie o rzecz wielkiej wagi, muszę z tobą mówić koniecznie!

Temi słowy przemawiał pan Atkins, pukając energicznie do drzwi Joanny. Nie pozostały one bez skutku, gdyż wywalczył sobie wstęp do jej pokoju. Słychać było odsuwającą się zasówkę, drzwi się otworzyły.

Joanna była zupełnie ubraną, łóżko zostało nietknięte, lampa i tu się paliła. Widać było, iż dotąd nie pomyślała o spaniu. Wyszła naprzeciw Atkinsa, z wyrazem niepokoju a wzrok jej zdawał się pytać, co się stało. Oczy jej były zaczerwienione trudem i gorączką, która ją paliła, nie było jednak śladu łez w jej źrenicach. Joanna płakać nie umiała. Nie znała wcale tej częstokroć jedynej i najwyższej pociechy kobiet, tej ulgi jakiej doznają wylewając łzy obfite. Nawet w latach dziecięcych nie płakała nigdy. Jeżeli kiedy uczucie brało górę nad jej silną naturą, łkała głucho, konwulsyjnie, jak wtedy przy łożu ojca konającego, jak w owej chwili w hotelu miasta D*, gdy opowiadanie stolarza Erlong tak wielkie na niej wywarło wrażenie, straszne widmo jej pokazując, bezdenną otchłań przed nią otwierając. Ból najsroższy, piersi rozrywający, pokonywała siłą woli nieugiętej, tak jak ją ojciec nauczył, bez łez, po męzku.

Atkins uprzedził pytanie, na jej ustach zawieszone, wypowiadając gwałtownie:

— Niebezpieczeństwo wielkie! Myślałem, że potrafię je usunąć, osłabić, tymczasem położenie staje się coraz groźniejsze. Moje wszelkie środki wyczerpane, musisz ty się wdać w tę sprawę, miss Jenny!

— Gdzie? Jakie niebezpieczeństwo? — pytała Joanna bez tchu, przeczuwając najgorsze.

— Alison z panem Servigny starli się gwałtownie. Harry wyzwał Francuza, a ten mu odmówił na razie zadośćuczynienia pod pozorem wojny, podczas której nie może dobrowolnie życiem rozporządzać, bo ono do kraju a nie do niego samego należy. Alison knuje straszną zemstę. Biada nam wszystkim, jeżeli spotkają się gdziekolwiek.

Joanna zadrżała i zbladła, usłyszawszy tę wieść straszliwą, prędko jednak zapanowała jak zwykle nad sobą, głos jej tylko pozostał głuchy, syczący, jakby z rozbitej piersi wychodził, a gorycz niezwykła wiała z każdego słowa.

— Masz pan zupełną słuszność. Ci dwaj nie mogą stać raz drugi jak wrogi naprzeciw siebie. Pojedynek między nimi, i jeszcze o mnie, byłby więcej jak zbrodnią, jak morderstwem. Alison jest w błędzie, potrzeba tylko jednego słowa z ust moich, żeby go z tego błędu wyprowadzić. Chciałam odłożyć to do jutra, lecz gdy położenie stało się tak groźnem, nie ma więc chwili do stracenia. Wołaj go pan do mnie natychmiast.

Atkins potrząsł głową znacząco.

— To właśnie całe nieszczęście. Szukałem Alisona w zamku, w parku, wołałem, pytałem wszystkich o niego, przepadł jak kamień w wodę.

— A Ludwik? Przez miłosierdzie Boże, gdzie jest Ludwik?

Atkins brwi zmarszczył. „Ludwik“ — tak więc już daleko zaszli oboje, a Alison jednakowoż ma być nibyto w błędzie.

— Pan Servigny — odparł ponuro — poszedł w góry, w interesie służby, jak utrzymywał, sam jeden; Harry zdaje się za nim pospieszył. Jeżeli tak jest... jeżeli tam się zejdą... nie potrzebuję mówić ci miss Jenny czem to grozi, czego możemy się obawiać.

Joanna skamieniała. Wreszcie otrząsła się z osłupienia i przerażenia, przyzywając na pomoc całą swoją energję.

— Niestety! znam aż nadto Alisona. On nie może

odejść, dopóki ja się z nim nie rozmówię. Muszę go z drogi nawrócić, choćby kosztem życia mojego. Zdaje mi się — mówiła dalej, trąc czoło ręką i starając się powiązać myśli, ogarniające ją trwogą śmiertelną i wirujące po głowie w takim bezładzie, że czuła się bliską szaleństwa — zdaje mi się, że jedna tylko droga prowadzi w góry, wszak nam tak powiedziano w mieście D*?

— Tylko jedna i tę Franc-Tireury obsadzili tej nocy podwójnie. Alison także nie pójdzie tą drogą, wiedząc dobrze, żeby go z niej nawrócono.

— Więc tylko w parku być może. Musi w nim być z pewnością. Idę go szukać.

Atkins próbował ją zatrzymać.

— Na miły Bóg! — zawołał — zastanów się miss. Jesteśmy w obcym kraju, między żołnierzami, wśród wrzawy wojennej, noc głucha, nie możesz przecie pod żadnym warunkiem iść sama!

Joanna ani go słuchała. Zbierała się prędko, gorączkowo.

— Pan tu zostaniesz. Wszystko troje na razie nie możemy z zamku wychodzić. Wydałoby to się tembardziej podejrzane i nawrócono by nas bezwątpienia. Zresztą nie masz pan najmniejszego wpływu na Henryka, z tobą nie wróci, to daremna! Muszę z nim mówić sama.

Jak strzała zbiegła ze wschodów, nim Atkins miał czas uczynić dalsze uwagi. Zacisnął więc tylko obie pięści z najwyższą niecierpliwością, mrucząc przez zęby:

— A to noc piekielna! Ten Francuz romantyczny, bierz go licho! takiego nam piwa nawarzył, że znajdujemy się prawie wszyscy życia nie bardzo pewni. Jenny jednak dobrze mówi, że mnie tam nie potrzeba. Niech oni między sobą wszystko odrabiają. W parku znaleźć go musi. Nie może być gdzie indziej.

Wielki obszerny park, okalający zamek B*, pływał teraz cały w miesięcznem świetle. Panowało w nim głębokie milczenie, od czasu do czasu przerywane ciężkim krokiem patrolujących żołnierzy. Podług rozkazu majora obeszli park na około, później zwidzili jego główne ścieżki i ulice, nie znajdując atoli nigdzie nic podejrzanego.

Wróciwszy napowrót główną ulicą, podzielili się na trzy oddziały, z których każdy miał inną część parku mieć na oku. Jakób pozostał sam jeden na straży w końcu parku, gdzie miał nakazane dawać na góry baczenie. Po dwóch godzinach miały ich inne warty zluzować.

Powoli, z bagnetem na ramieniu, przechadzał się Jakób tam i napowrót, nadsłuchując i śledząc góry okiem przenikliwem, czy nie zobaczy w której stronie czegoś niezwykłego, lub nie dosłyszy zdala szelestu podejrzanego.

Do misji dyplomatycznej nie nadawała się inteligencja poczciwego Jakóba, lecz gdy szło o to jedynie, żeby mieć oczy i uszy otwarte, żeby donieść o najmniejszem odkryciu, o najlżejszem niebezpieczeństwie, w tym razie można było być pewnym, że Jakób wypełni rozkaz wiernie i punktualnie. Rozkaz przyszedł mu bardzo w porę, odrywając go od smutnych a bezowocnych rozmyślań nad losem, mogącym spotkać jego pana, nad pożegnaniem z tymże, i nie dopuszczając mu zgłębiań przeczuć boleśnych, jakie przed chwilą duszę jego trapiły. Służba i nakaz surowy wymagały po nim całej uwagi, wytężenia wszystkich władz umysłowych, nie zostawiając mu czasu na nic innego.

Właśnie przeszedł wzdłuż kawał parku, który mu wyznaczono i nazad powracał, gdy w krzakach coś się zaruszało. Szybko obrócił się w tę stronę, składając broń do wystrzału, a usta do zawołania „kto tam“, gdy na gazonie, jasno księżycem oświetlonym, zarysowała się postać kobieca, ku niemu zmierzająca, w której poznał miss Forest.

Pierwotne posądzenie Jakóba zaczęło na nowo kotłować w jego umyśle. Trzymał się dotąd uparcie tej myśli, że ci Amerykanie są właściwie szpiegami, a najniebezpieczniejszą jest sama miss. To, że jest kobietą, nie wchodziło w rachubę, wszak wiedział, że co do rozumu i przebiegłości przejdzie mężczyznę, a co do energji sprosta najsilniejszemu.

Jej pojawienie się o godzinie niezwykłej, w miejscu tak od domu oddalonem, potwierdzało w zupełności jego domysły.

— Co robisz w parku o tej godzinie miss? — spytał podejrzliwie. — Gdyby nie suknia pani i gdybyś mi nie była dała natychmiast odpowiedzi zadowalniającej, byłbym mógł cię zastrzelić.

Joanna nie uważała wcale na pogróżkę, podeszła jeszcze bliżej, a stanąwszy obok niego, przemówiła głosem urywanym wskutek biegu szybkiego:

— To ty Jakóbie? Dzięki Bogu, że choć ciebie znajduję.

Jakób nie zdawał się nader zbudowany tym wykrzyknikiem „Dzięki Bogu“ i nie myślał jej w tem wtórować. Byłby może nawet w swojej zbytniej gorliwości szorstko się z nią obszedł i z niczem odprawił, przypomnienie atoli ostatnich słów Servignego, nie pozwalało mu popełnić najmniejszej niedelikatności względem miss Forest.

— Wróć się pani do zamku — powiedział jej tylko — nie możesz przechadzać się tędy o tak późnej godzinie, a ja nie powinienem na to pozwolić.

Zakaz, równie jak groźba zastrzelenia, nie zwróciły uwagi Joanny, pytała dalej niespokojnie:

— Chodziłeś po całym parku. Nie spotkałeś gdzie pana Alisona?

Jakóbka podejrzenie coraz wzrastało. Czy i p. Alison kręci się tędy? Więc cała szkuta rozbiła się z tem tatałajstwem amerykańskiem! To ich szwendanie się po parku dziwnie mu się nie podobało. W tem coś koniecznie być musi.

— Pana Alisona nigdzie nie było — odrzekł stanowczo. — Cały park zwidziliśmy, gdyby w nim był, bylibyśmy go na pewno złapali i do zamku nawrócili. Musi być gdzie indziej.

Trwoga śmiertelna odmalowała się w rysach Joanny.

— Boże wszechmogący! przyszłam za późno — szepnęła sama do siebie z boleścią najwyższą, lecz nie było czasu poddawać się rozpaczy, a spotkanie z Jakóbem

było dla niej nowym promykiem nadziei. — Czy wiesz gdzie twój pan poszedł? — zapytała bez wahania.

— Nie wiem tego — odrzekł Jakób mrukliwie — ale teraz mówię ci miss stanowczo...

— Poszedł w góry — przerwała Joanna nie zważając na jego dalszą mowę — i ja tam idę za nim w pogoń!

Jakób wypatrzył się na nią przestraszony.

— Bóg z tobą miss! ale zdaje mi się, żeś po prostu rozum postradała. W góry chcesz iść, w nocy, żeby tam spotkać się z patrolem pruskim. No! to ci się nie uda, od tego są przecież wszędzie nasze posterunki, żeby każdego z drogi nawrócić.

– Wiem o tem. Jednak iść tam muszę. Ty znasz hasło Jakóbie, możesz mi więc dopomódz przejść przez wasze forpoczty.

Jakób osłupiał na tę propozycję. Mało broń nie wypuścił z wielkiego przerażenia; potem wyprostował się dumnie, a patrząc na Joannę w poczuciu swej godności wzrokiem pełnym politowania nad jej grubą niewiadomością, odrzekł z naciskiem:

— Jak to zaraz poznać miss, że przyjeżdżasz z tej dzikiej i bezbożnej Ameryki. Dobremu katolikowi nawet by podobnie grzeszna myśl do głowy nie przyszła. Mam ci pomódz przejść przez naszą linię, ba! nawet zdradzić tajemnicę hasła naszego! Widać, że pani nie masz wyobrażenia czem jest wojna i jak jest świętą powinność żołnierza?

Joanna jeszcze o krok naprzód postąpiła; głos do szeptu zniżając.

— Idzie o życie twojego pana. Słyszysz Jakóbie? o życie twojego tak ci drogiego pana! Grozi mu niebezpieczeństwo nie od Prusaków, na których możebne spotkanie jest przygotowanym; wcale kto inny dybie na jego życie, o czem on nic nie wie! Ja jedna mogę temu przeszkodzić. Czy rozumiesz teraz, że iść muszę, by go o tem przestrzedz, by cios śmiertelny od niego odwrócić.

Twarz poczciwego chłopca skrzywiła się boleśnie.

— Przeczuwałem to — rzekł tonem płaczliwym — że tej nocy nie obejdzie się bez wielkiego nieszczęścia.

— Nieszczęścia unikniemy — mówiła dalej stanowczo Joanna — jeżeli wcześnie za nim pospieszę. Odszukam go niezawodnie, bylem mogła dostać się w góry. Wiedząc o co mi idzie, dopomożesz mi przecie Jakóbie, nieprawdaż?

Jakób potrząsał głową zaprzeczająco.

— Nie mogę! — szepnął.

Joanna chwyciła go za obie ręce rozpaczliwie.

— Mówię ci, że idzie o życie twojego pana, że jest zgubiony, jeżeli go nie ostrzegę. Chcesz żeby marnie zginął, gdy jedno moje słowo może go uratować. Na Chrystusa ukrzyżowanego, czyż mię możesz posądzać Jakóbie o zdradę, o chęć oszukania ciebie?! Czy nie widzisz, że mnie jedynie trwoga śmiertelna pędzi za nim? Na miłość twoją dla Ludwika zaklinam cię, pomóż mi dostać się w góry!

Jakób patrzał na nią milcząco. Czuł prawdę w jej słowach, widział rozpacz malującą się w jej rysach, w ustach drgających konwulsyjnie, słyszał jej prośbę gorącą. To wszystko tyczyło się jego pana, ona błagala go, żeby jej pomógł ratować to życie, tak im obojgu drogie! Dwie grube ciężkie łzy stoczyły się powoli po licu biednego chłopca, ścisnął jeszcze mocniej broń swoją.

— Nie mogę miss! Ze służby odejść mi nie wolno, a choćby mnie nawet zluzowano, przez linię naszą przejść ci nie pomogę, gdyby nawet... choćby życie mojego pana od tego zależało! Nie patrz miss na mnie temi błagającemi oczyma. Przysięgam ci na Boga w niebie, że tego zrobić nie mogę!

— Więc Ludwik zgubiony bezpowrotnie! — jękła głucho Joanna, ręce załamując.

Jakób cofnął się gniewnie.

— Nie kuś mię miss dłużej, to daremna! Jakób Haulin zdrajcą nie zostanie!

Joanna zadrzała, źrenice jej otwarły się szeroko w śmiertelnem przerażeniu.

— Coś ty powiedział? Jak się nazywasz?

— Haulin! nie wiedziałaś o tem miss? No, prawda! zkądże miałaś się o mojem nazwisku dowiedzieć, wszak na mnie zawsze Jacque wołano.

Joanna oparła się o drzewo. Oddychała z ciężkością, a wzrok utkwiła w mówiącego z wyrazem nie dającym się określić. Zdziwienie, boleść, trwoga, wszystkie te uczucia mąciły się razem na jej obliczu jak czarne chmury pędzone wichrem po stropie niebieskim i kłębiące się jedna nad drugą, a mimo tego oczy jej zaczynały świecić promieniem jasnym błogiej nadziei, przeczuciem szczęścia niepojętego, niewysłowionego.

— Czy znasz może rzemieślnika, stolarza Jana Haulin, syna rybaków, który później był oddany wujowi swemu Erlong, w mieście D* zamieszkałemu?

— Jak bym go nie miał znać — zawołał Jakób, z wzrastającym zdziwieniem nie tak jeszcze nad samem zapytaniem, jak nad wzrokiem Joanny, który zdawał się go na wskróś przenikać — przecież to mój brat! to jest właściwie nie rodzony, ale brat po sercu, bo mnie jego rodzice wychowali.

Joanna stała niema czas jakiś, nie mogąc głosu dobyć z piersi ścieśnionej, wreszcie zaczęła pytać dalej z nadludzkiem wysileniem.

— Ty więc byłeś owym chłopcem, znalezionym przez rodziców Haulina nad brzegiem morza w Brest, który wychowywał się u nich, a po ich śmierci został wzięty przez proboszcza Dubois? Odpowiadaj przez litość!

— Pewnie, że ja nim byłem — odpowiedział Jakób zaniepokojony coraz więcej tem dziwnem wypytywaniem — ale zkąd pani na miły Bóg! o tem wszystkiem wiedzieć możesz?

Joanna musiała znowu zbierać upadające siły — następne pytanie było dla niej kwestją życia lub śmierci.

— A pan Servigny? Wszak i on wychował się u proboszcza Dubois, jakim on się tam sposobem znalazł?

— Najprostszym w świecie! Proboszcz wziął nas obu w jednym roku. Mnie najprzód z łaski i miłosierdzia, bo nikt inny nie chciał się mną obarczać, a w parę miesięcy później mego pana, syna siostry księdza Dubois, któremu rodzice umarli prawie razem na cholerę. Gdy

pan Servigny więcej żadnych krewnych nie miał, musiał i jego przytulić. Gdy to się stało, ja już byłem zainstalowany, nie mógł mnie napędzić w świat szeroki i zatrzymał nas obu. Chętnie tego jednak nie robił. Kawałek chleba, który nam dawał, musieliśmy mu wiernie odsługiwać, ja pracując w domu tak ciężko, żem już nieraz ręką i nogą ruszyć nie mógł, a mój biedny pan przy stoliku, z piórem w ręku siedzieć musiał po dniach całych, póki mu pióro nie wypadło ze skostniałych palców. Miał gwałtem zostać uczonym, a mój pan co prawda, daleko chętniej wtedy wiersze pisał. Ta chętka jednak prędko przeminęła, ksiądz umiał nas w ryzach trzymać żelazną ręką. Niech go Bóg przyjmie do swojej chwały, ale mnie istotnie dopiero wtedy lżej się na świecie zrobiło, gdy proboszcza na nim nie stało, a mój pan jego jedyny spadkobierca, wziął i mnie razem z sukcesją. Odtąd blisko lat dwadzieścia nie rozłączyliśmy się nigdy.

Joanna słuchała nieruchoma, przyciskając pierś dłońmi, jakby obawiała się, że ją rozsadzi zbytek uczucia. Wykrzyknik szczęścia, który z głębi tej piersi się wydobywał, do kogoż właściwie należał? Wywołałaż go radość, że brata tak nagle odszukała, czy że tamtego jako brata straciła? Sama dobrze nie wiedziała. To jednak pewna, że kamień spadł z jej serca, że nawet myśl o niebezpieczeństwie Ludwika i bojaźń o jego życie, ustąpiła chwilowo przed tą myślą rozkoszną, że straszna walka, którą z sobą samą staczała, skończona, że dusza jej nie jest w rozterce z powinnością, że Ludwik nie jest jej bratem, a więc wolno jej kochać go, miłość zaś, która z taką siłą sercem jej owładła, nie jest zbrodnią.

— Jacque! — przemówiła słodko, kładąc mu rękę na ramieniu... Jakób jednak odwrócił się od niej nagle, patrząc na góry badawczo.

— Co tam się rusza pod skałą, a raczej jakby ze skały się wysuwało. Puść mnie pani! Kto tam? hasło dać!

Odpowiedzi nie było. Jakób jej też nie potrzebował; promień księżyca, wpadający teraz właśnie ukośno w skał rozpadlinę, zdradził mu kilka postaci ciemnych, ztamtąd wychodzących i odbił się w błyszczących bagnetach.

W chwili niebezpieczeństwa zastępował Jakób zdolności umysłowe, których brak u niego czuć się dawał w życiu codziennem, instynktem cudownym, który dzielą ze światem zwierzęcym natury mniej wykształcone pierwotnie, a taki instynkt nigdy nie zawodzi. I teraz nie obrachował on rozumem, że towarzysze jego o tyle oddaleni, nie mogą zobaczyć tak jak on niebezpieczeństwa, ale instynkt kazał mu ostrzedz zamek jak najprędzej, nim też wiedziony, spełnił czyn heroiczny, tak jakby najmędrszy lepiej nie potrafił. Głos jego potężny rozległ się jak grzmot po parku:

— Zdrada! Napad! Idą już od ulicy z prawej strony. Baczność!

Jednocześnie dał ognia w kierunku nieprzyjaciół, a chwyciwszy Joannę za rękę, zaczął z nią biedz ku zamkowi. Ostrzeżenie doszło do jego towarzyszy, milczenie cichej nocy przerwało drugie i trzecie wezwanie, które i w zamku usłyszano. Lecz i nieprzyjaciel nie pozostał bezczynnym. Widząc się odkrytym, chciał najpierw zapłacić dzielnemu żołnierzowi za jego służbistość i poświęcenie. Kilka strzałów zaświstało mu koło ucha. Jakóba żadna kula nie dosięgła, ale Joanna z głuchym jękiem usunęła się na ziemię.

— Prędzej miss! prędzej! Uciekajmy w krzaki.

Podniósł ją w górę. Joanna próbowała iść za nim, noga zraniona odmawiała jednak posłuszeństwa, mimo sił wysiłku, upadła znowu na kolana.

— Uciekaj! ratuj się ty przynajmniej! mnie zostaw — szepnęła głosem omdlewającym. Jakób na nią spojrzał. Nie widział on jednak pięknego bladego oblicza, które byłoby każdego innego natchnęło samo przez się chęcią poświęcenia, nie myślał, że to bezbronna, zraniona kobieta, którą musi oddać na pastwę wrogom, jeżeli siebie tylko zechce ratować; on słyszał jedynie w głębi serca głos pana swego, gdy mówił mu te słowa: Powiedz mu, że miss Forest była mi najdroższym, jedynym skarbem na świecie, niech jej broni, choćby z narażeniem życia własnego.

Olbrzym porwał Joannę jak dziecię na ręce i uciekał dalej z swoim ciężarem.

Zamiar powzięty i wykonanie tegoż nie trwało i sekundy. Nieprzyjaciel nie ścigał ich wprawdzie. Nie wiedząc dobrze czy przeciwnik liczny i w jakiej odległości się znajduje, nie chciał snać ryzykować się zanadto naprzód i opuszczać bezpieczne schronienie, które mu każdej chwili odwrót zapewniało. Ten jednak, który ich pierwszy zdradził, nie powinien ujść bezkarnie! Na nowo kule się posypały w około uciekających, a Jakób, który teraz z tak wielkim ciężarem szedł powoli, jeszcze nie był i w połowie olbrzymiego trawnika, kłąby drzew poprzedzającego. Joanna objęła go za szyję rękami.

I w tej chwili nie opuściły jej krew zimna i zwykła przytomność umysłu. Obrachowała, że każdy jej ruch utrudnia chód jej wybawiciela i dodaje mu ciężaru.

Pozostała więc ile możności nieruchoma. Kule raz po raz świstały tuż przy nich, dotąd szczęśliwie chybiając celu — nagle Jakób zadrżał, stanął i jęknął boleśnie!

— Boże! mój Boże! jesteś trafiony! — krzyknęła Joanna chcąc się rzucić na ziemię, nie pozwolił jej na to, opasując ją i trzymając jakby żelaznemi ramionami.

Zaczął iść dalej, tylko coraz wolniej i ciężej. Joanna słyszała świszczący oddech w piersi jego, a po jej teraz bezwładnie wiszącej ręce, spływała jakby rosa ciepła i wilgotna. Jednak szedł naprzód. Joanna wpatrzyła się w twarz jego, oświetloną blaskiem księżycowym najdokładniej i dreszcz śmiertelny uczuła. Zdało jej się, że widzi konającą twarz ojca. Rysy grube bez wyrazu i inteligencji Jakóba, miały istotnie w tej chwili podobieństwo przerażające z tamtą twarzą, którą dawno już grób pochłonął. Odbijała się w nich ponura energja, wola niezłomna Foresta i ten upor żelazny, z którym ojciec zwykł był występować przeciw temu nawet, co ludzie niepodobnem nazywali.

Istotnie dokazał niepodobieństwa, niósł ją przez cały trawnik i jeszcze przez część górnej alei, dopiero niedaleko zamku spuścił ją na ziemię. W zamku było już pełno życia i ruchu. Słychać było nawoływanie, głośną

komendę podawano z ust do ust z szybkością błyskawicy, a młody, dzielny porucznik Vergnier na czele oddziału żołnierzy biegł pędem na spotkanie z nieprzyjacielem od zamku przez wielką aleję.

— Gdzie są? — spytał poznając Jakóba — po prawej stronie parku? Przy grupie skał? Dobrze! Chodź z nami Jakóbie.

I popędził dalej, a za nim reszta żołnierzy.

Jakób jednak nie mógł się już z nimi połączyć. Stał jeszcze chwilę wyprostowany, wreszcie runął jak dąb podcięty, całym ciężarem na ziemię. Z krzykiem rozpaczy padła Joanna na kolana obok niego, na mundurze widna była struga purpurowa — brat uratował siostrę życiem własnem, krwią serdeczną.

Walka króciej trwała, niżeli można było przypuścić. Nieprzyjaciel wcale nieliczny, miał zamiar napaść na oficerów w zamku, a tych mając w swojej mocy, rozprawić się krótko z oddziałem we wsi rozlokowanym, który byłby wtedy został bez dowódcy i komendy. Gdy atoli zastał wszystkich przygotowanych i tak wcześnie został zdradzony, cofnął się szybko w góry, po małej utarczce z porucznikiem Vergnier, który miał najostrzej zakazane ścigać dalej wśród nocy nieprzyjaciela. Dwóch czy trzech żołnierzy pruskich zostało zabitych, kilku rannych wzięto do niewoli; zaś z Franc-tireurów kilku odniosło lekkie, nic nie znaczące rany; trafionym śmiertelnie był tylko jeden Jakób.

Złożono go na łóżku Joanny w jej pokoju. Siedziała obok łóżka. Jej własne skaleczenie okazało się prostem draśnięciem, które na razie nic jej nie dozwalało, nie groziło jednak najmniejszem niebezpieczeństwem. Doktor Buthot opatrzywszy i obwiązawszy ranę, zapewnił, że noga będzie za parę dni zupełnie zdrową i żadnych innych nie dał rozporządzeń. Widział zresztą, że Joanna nie jest w usposobieniu myśleć wiele o sobie.

Trochę opodal od nich stał Atkins pod oknem, pogrążony w niemej, głębokiej zadumie. Z pospiechem gorączkowym Joanna opowiedziała mu wszystko, to też twarz Amerykanina, zwykle drwiąco-sarkastyczna, wyrażała teraz smutek nie kłamany i powagę surową. Na łożu boleści leżał konający ten, którego rodzice tyle lat szukali, którego znalezienie byliby chcieli choćby największemi ofiarami okupić, za którym siostra aż z za morza przyjechała, śledząc za nim z narażeniem życia prawie.

Tak był blisko nich przez tygodnie całe. Imię jego odbijało im się codzień o uszy, a oni oboje tak z góry na biednego chłopca patrzyli, tak go boleśnie drażnili dumą, lekceważeniem, prześladując go i drwiąc z niego, gdy tylko sposobność się nadarzyła. Zapewne dla niego były zamknięte skarby wiedzy, nad nim nikt nie pracował, nikt go nie kształcił, podczas gdy siostrę od lat dziecięcych otaczała troskliwość, opieka najczulsza, gdy ona opływała we wszystko, co może dać przepych, bogactwo! Dziedzic miljonów rósł poniewierany i potrącany, w ciężkiej zależności, jedząc gorzki chleb z łaski mu podawany, rósł dziko, niezgrabny, nieokrzesany, nieszczęśliwy, póki nie znalazł dobrego pana, który przynajmniej łagodnie i przyjaźnie obchodził się z biednym, poczciwym chłopcem, znając piękne przymioty jego serca nie zepsutego.

Chwila, która miała mu prawdę odkryć, oddać w ręce majątek, zapewnić przyszłość swobodną i niezależną... była śmierci jego godziną! Doktor Buthot obznajomiony z całą sytuacją kilkoma słowy Atkinsa, nie robił najmniejszej nadziei. Nie było ratunku. Gdyby Jakób kulą trafiony był się ratował sam jeden, rana możeby nie była śmiertelną. Wysilenie nadludzkie, z jakiem unosił Joannę tak daleko, sprowadziło zalanie płuc krwią na wewnątrz, to go dobiło i chwile rannego były policzone. Dotąd w omdleniu pogrążony, ruszył się Jakób, otworzył szeroko błędne źrenice i wpatrywał się najprzód w doktora, stojącego naprzeciw łóżka.

— Ze mną kończy się wszystko, nieprawdaż doktorze? — spytał cicho...

Doktor przystąpił bliżej. Wzrok jego skrzyżował się z oczyma Joanny, które go błagały o milczenie.

— Tak źle nie jest Jakóbie. Jednak musisz bardzo uważać, bo rana ciężka.

Jakób był najprzytomniejszy. Nie uszedł jego uwadze wzrok zamieniony z Joanną.

— Możesz mi doktorze prawdę powiedzieć, nie boję się śmierci. Mój pan? — zwrócił się z pytaniem ku Joannie. — Czy nie mówiłaś miss, że mój pan zgubiony bez ratunku?

Joanna zakryła twarz. Cierpiała mękę straszliwą. Może w tej chwili i Ludwik umiera, a ona bezsilna musiała ustąpić przed niepodobieństwem!

Jakób zrozumiał niemą odpowiedź.

— Więc i ja nie mam czego żyć dłużej — rzekł spokojnie ale stanowczo. — Wiedziałem, gdy mój drogi pan żegnał się ze mną, że to pożegnanie na zawsze!

Doktor przystąpił do Joanny szepcząc jej do ucha:

— Jedyną pociechę mogę dać pani, że to... co nieodwołalnie nastąpić musi, przyjdzie spokojnie, bez walki.

Opuścił ich, by innych rannych opatrzeć. Brat i siostra zostali sami.

Pochyliła się nad nim. Oblicze umierającego miało dawny wyraz bezmyślny, dobroduszny, tylko było śmiertelnie blade. Rys uporu i woli nieugiętej, który był tak jaskrawo wystąpił w chwili niebezpieczeństwa, znikł bezpowrotnie, a z nim i podobieństwo do ojca. Rozumiała Joanna, że musi nader ostrożnie brać się do zwierzeń, żeby nie zerwać i tak słabej nici życia, nie sprawić mu bolu, zamiast radości. Leżał tak spokojnie, nie zdając się cierpieć wcale. Teraz przy łożu brata konającego działała roztropnie jak zwykle, mówiąc sobie tylko w duchu, że nie pozwoli mu umrzeć bez ostatniego przynajmniej siostry pocałunku.

— Jaque! — zawołała.

Otworzył oczy zdziwiony słodkim, łagodnym dźwiękiem jej głosu. Zdawało się jednak, że mu przyjemność sprawia to przemówienie z lat dawno ubiegłych. Joanna tak się bała usłyszeć to imię z ust Ludwika, a nie uderzało jej, gdy tyle razy usłyszała wymawiane u państwa

Etienne. Wzięła obie ręce brata w swoje dłonie i mówiła tuląc je do piersi:

— Mówiłeś mi o twojej młodości. A rodziców swoich czy nie znasz wcale?

Jakób potrząsł głową.

— Bardzo mało. Przypominam sobie wielki okręt, na który mieliśmy wsiadać... tak jak przez sen widzę ojca, który mnie za rękę prowadził... przodem szła matka, raptem ojciec mię puścił, kazał mi iść za matką, sam w bok się rzucił i zniknął w tłumie. Ludzie mnie z matką rozłączyli. Płakałem i krzyczałem bardzo długo, aż mnie znalazł ojciec Haulin i zaniósł na rękach, bo już nie mogłem iść od zmęczenia. Tyle tylko o matce pamiętam.

— I nigdy już o rodzicach nic nie słyszałeś?

— Nic! nigdy! Pewno pomarli tam w Ameryce, lub też całkiem o mnie zapomnieli! Nikt się o mnie nie spytał, nikt się nie troszczył, prócz jednego mego dobrego pana. (C. d. n.)

Z ŻYCIA STUDENTÓW.

VII.

(Dok.) Właśnie szósta biła na zegarze, gdy ostatni ze stu walecznych stanął przed „Wygodą". Ci, których wysłano na zwiady, już wieczorem dnia poprzedniego ruszyli ku wskazanej miejscowości.

Syn starosty, Maurycy, chłopiec wątły i nie bardzo odważny z natury, trząsł się jak liść osiczyny, skarżąc się na nieznośne powietrze listopadowe. Pod tym względem miał on rację najzupełniejszą, od północy bowiem padał deszcz drobny, który na ziemi marznął powoli, tak że droga była śliska i niebezpieczna, powietrze zaś zimne i wilgotne.

Maurycy, mimo, że już wiedział, w jakim celu wywabiono go z domu tak wcześnie, postanowił dzielić z kolegami trudy niebezpiecznej wyprawy, nie żądając w nagrodę nic więcej, jeno by go na przyszłość nie nazywano szwabem. Pan Kreishauptman był Niemcem do szpiku i kości, pulchna jego małżonka była Niemkinią najczystszej wody, a potomek tych zacnych rodziców wstydził się, gdy go szwabem nazywano.

Po rozebraniu lasek, młodzież sformowała szóstki, które spokojnie jak armja regularna, ruszyły gościńcem ku P.

Na rogatce pojawili się landsdragoni, ale na widok syna pana Starosty, maszerującego na czele obok kolegi Dyonizego, cofnęli się grzecznie salutując.

Pan Dyonizy jako dobry taktyk, kazał tylnej straży wstrzymywać wszystkie wozy i bryczki nadjeżdżające od miasta; tylko w ten sposób mógł się upewnić, że karczmarz w P. nie zostanie przez nikogo uwiadomionym o nadciągającej wyprawie. Rozkaz dowódcy został sumiennie spełniony i w pół godziny cały szereg najrozmaitszych zaprzęgów wlókł się za studentami.

— Z drogi! z drogi! — dał się słyszeć głos w tyle.

— Nie wolno! — zawołano zewsząd.

— Z drogi! Lekarz jedzie do chorego!

— Czy słowo honoru? — zapytał p. Dyonizy.

— Słowo honoru.

Lekarza puszczono, który skręciwszy w bok na drogę polową, popędził co koń wyskoczy.

Było między dziewiątą a dziesiątą rano, gdy z małego pagórka, na który wszyscy wstąpili, ukazała się karczemka i owa fatalna rogatka, która biednego Hilcia tyle kosztowała!

Pan Dyonizy chciał właśnie wydać stosowne rozkazy, gdy jeden z kolegów zauważył, że od strony karczmy nadciągają jakieś postacie.

— To nasi wysłannicy! — ktoś zawołał.

— Rzeczywiście! — dodał drugi — ale zdaje mi się, że im nogi nie statkują... Coś w zygzak chodzą.

Nie namyślając się dłużej, studenci puścili się cwałem i w kilka minut zrównali się z kolegami, którzy w rzeczy samej byli nielitościwie pijani. Po długiem badaniu tyle się nareszcie dowiedziano, że straż przednia, przyszedłszy w nocy do karczmy, położyła się spać najspokojniej; gdy jednak rano młodzi ludzie nie wybierali się w dalszą drogę, arendarz zaczął coś podejrzywać. Z początku pytał oględnie, gdzie panowie studenci idą? a czy daleko? lecz gdy to nie pomogło, posłał Ryfkę do piwnicy po miodek, który prędko rozwiązał młode języki. W pół godziny arendarz usłyszał co pragnął wiedzieć, poczem wyniósł się cichaczem z całą rodziną, zostawiając karczmę na łasce Opatrzności i panów studentów.

— A niech was jasny piorun spali! — krzyknął Dyzio — kiedy pozwoliliście ptaszkom uciec z klatki!

— Nic nie szkodzi! Łatwiej zrabujemy i spalimy karczmę! — wtrącił Maurycy, w którego żyłach krew germańska dopiero teraz zakipiała.

— Do karczmy! Do karczmy! — krzyknęli wszyscy chórem.

W pół godziny w karczmie nie było ani jednej szyby całej, ani jednych drzwi w zawiasach, ani jednego sprzętu całego. Dokoła spustoszenie, jak ongi w Jeruzalem, gdy je Rzymianie zburzyli. Po spełnieniu tego czynu, ktoś zauważył, że warto by teraz puścić karczmę z dymem, ale roztropniejsi słuszną na to zrobili uwagę, że ponieważ budynek sam nie jest własnością żyda, lecz właściciela wioski, więc ucierpiałby na tem tylko sam właściciel. Mimo zapału wojowniczego, studenci uznawszy słuszność tego tłumaczenia, potworzyli znowu szóstki, aby wrócić do miasta. Tymczasem Maurycy podsunął się niespostrzeżenie pod strzechę i wetknął w nią zapałkę płonącą. Gdyśmy byli na pagórku, karczma stała w płomieniach. Nikt się nie domyślił, kto był sprawcą tego czynu.

Zziębnięci, głodni i znużeni wracali studenci z wyprawy. W połowie drogi spotkali oddział landsdragonów, którzy pod dowództwem Kreiskomisarza mieli jakieś nieprzyjazne zamiary, ale ujrzawszy stu studentów uzbrojonych w potężne laski, a między nimi syna samego pana Kreishauptmana, uznali za rzecz bezpieczniejszą iść spokojnie w tyle za oddziałem, niż zaczynać z nim spór mogący do bójki doprowadzić.

Gdy oddział stanął przed Wygodą, pan Dyonizy nie pozwolił składać lasek do arsenału, ale zakomenderowawszy: Marsz! marsz! ruszył pierwszy szybko do miasta. Studenci spodziewając się nowej awantury z radością cwa-

łem za nim pospieszyli, za studentami puścili się landsdragoni, a za tymi znowu zgromadzili się żydzi, których liczba od samej rogatki coraz się zwiększała.

Wkrótce tłum wzrósł do kilku tysięcy, a gdy Dyzio przed mieszkaniem pana Kreishauptmana zakomenderował: Stój! cały rynek był ciekawymi nabity. I byli tam wszyscy, całe miasto, z wyjątkiem Maurycego, który w tem miejscu ulotnił się jak kamfora.

Wszczął się pisk, wrzask, muzyka prawdziwie piekielna. Tłum, nie wiedząc co to znaczy, wtórował krzykom, a landsdragoni słuchali, nie wiedząc co począć. Gdy po niejakim czasie wrzawa ucichła, z pierszego piętra, gdzie mieszkał pan Kreishauptman doleciał krzyk odosobniony, płaczliwy, bardzo podobny do głosu, który miał Maurycy...

To pan Kreishauptman mścił się na jedynaku za przykrości dnia tego.

W cztery tygodnie później, Icek nie chcąc opłacić mostowego, załamał się z końmi na Sanie i utonął.

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Pani Garibaldi. Rzymski korespondent *Figara*, opisuje swoją wycieczkę do Albano, gdzie udało mu się obaczyć wielkiego jenerała Garibaldi'ego; nie miał wprawdzie sposobności rozmawiać z nim i dowiedzieć się, jaką oryginalną kombinacją zamyśla pogodzić ukochanego króla Humberta z przyszłą Republiką, ale za to wolno mu było podziwiać jenerała śpiącego i chrapiącego, zapewne zwyczajem południowców.

Dobrze wychowany Francuz, galanthomme z urodzenia, nie chcąc przerywać poobiedniej drzemki pana domu, postanowił zabawiać w tym czasie panią i w grzeczny sposób wyciągać ją na słówka.

Francesca Garibaldi pierwszy raz w życiu może miała sposobność odegrać rolę publicznej znakomitości i nie przeczuwała zapewne, że ją potem chytry Francuz jak węża morskiego opisze w dowcipnej korespondencji.

„Pani Garibaldi — pisze on — jest sobie dzisiaj tem samem, czem była przed laty: prostą wieśniaczką; lat może mieć czterdzieści, do czterdziestu pięciu.

Rysy jej są pospolite, ale wielce ożywione; bujne włosy stanowią jej jedyną ozdobę dzisiaj.

Palce ma obsadzone pierścionkami, a ogromne zausznice spadają jej aż na ramiona“.

Takim jest ideał Garibaldi'ego, taką ta włoska Dalila, u której kolan republikański Samson składał swą znużoną głowę.

Oto wyjątek z ich rozmowy:

— Pozycja pani dobrodziejki jest do pozazdroszczenia, prawdziwie królewskie stanowisko; niebrak też zapewne zawistnych...

— A-ino?... zazdrośnych mam bez liku. Codziennie odbieram mnóstwo niepodpisanych listów. W jednym nazywają mnie Judytą włoską, w drugim piszą, że nie jestem uczciwą kobietą, bo gdybym była uczciwą, to powinnam otruć jenerała. Dzisiaj to już przywykłam do tego; wezmę taki list, podrę i cisnę w kąt i tak, co z oczu, to z myśli...

— Jak słyszałem, jenerał podobno bardzo kocha panią dobrodziejkę i kiedyś zapewne nada pani prawnie swoje nazwisko.

— A jeszczeby też! rozumie się, że weźmiemy ślub skoro tylko będzie można; Menotti ma tam to wszystko jakoś ułożyć i zapewne wkrótce będę się mogła z prawa już nazywać po mężu.

— Ale łaskawa pani, pozwalam sobie uczynić uniżenie tę skromną uwagę, że pani Raimondi...

— A wiem, wiem, co pan chcesz powiedzieć. Pan mi chcesz przypomnieć, że Raimondi żyje jeszcze, ale jeżeli się Italię zrobiło tem, czem jest dzisiaj, to wreszcie nie jest się obowiązanym ulegać tak bardzo wszystkim przepisom świeckim. Zresztą spełnimy i tę formalność, ze względu na ludzkie języki, gdyż i tak żyjąc lat piętnaście z jenerałem, mam już prawo uchodzić za jego żonę.

— Oh! jak pani dobrodziejka musisz się czuć szczęśliwą, będąc małżonką tak wielkiego człowieka.

— No, także!... gdyby mi nawet koronę dali, to nie byłabym już szczęśliwszą; koron jest wiele, ale Garibaldi jest tylko jeden na świecie!...

W tym wykrzykniku Franceski mieści się może rozwiązanie zagadki, która bohatera z Caprery przywiązała do byłej mamki swego wnuka, bez względu na opinję publiczną, na przyzwoitość, i na to, co historja powie.

Manja podpisu. Notujemy jedną osobistość wielce oryginalną z tego względu, że nazwisko jego spotkać jeszcze można po wszystkich skałach Tyrolu, Styryi, Salcburga i Karpat wypisane.

Niema prawie ściany stromej w Austrji, wieży wysokiej, mostu, drzewa pamiątkowego, groty godnej zwidzenia, aby się nazwisko Józefa Kyselaka odszukać w niej nie dało.

Człowiek ten miał manję podpisywania się wszędzie, gdzie tylko ręka oparcie znalazła.

Opowiadano o nim, że zawiedziony w miłości, postanowił swą lubę prześladować w ten sposób swojem wspomnieniem; zmarły przed dwoma tygodniami kuzyn tego oryginała, sprostował błędną legendę: Kyselak nabył tej manji przez przyzwyczajenie.

W pewnem towarzystwie zrobił on zakład, że w przeciągu lat trzech wsławi swoje nazwisko w całej monarchji austryjackiej, nie wydawszy ani jednego dzieła, nie popełniwszy ani jednej głośniejszej zbrodni, nie odzywając się nawet do nikogo.

Po upłynięciu tego terminu miał każdy strzelec na górach, każdy pasterz w dolinach, znać nazwisko Kyselaka.

I tak się stało. Kyselak przed oznaczonym terminem wygrał zakład; nazwisko jego rozniosło się po całej prawie monarchji przez turystów, którzy je na każdym niemal kroku spotykali.

Zdawało się, że ono wraz z drzewami wyrasta, razem z bluszczem wspina się po wszystkich ruinach, spada w przepaście, wzlatuje na wierzchołki gór, na szczyty wież, drapie się po wszystkich murach, a to tylko pracowita i jedną myślą kierowana ręka manjaka kreśliła je wszędzie, bezustannie, uparcie.

Zabraniano mu urzędownie szpecić swoim podpisem mury gmachów nowowystawionych; Kyselak nie mógł przenieść tego na sobie, aby gdzieś ukradkiem nie umieścić swego nazwiska.

Zagrożono mu grzywną, jeżeli się poważy podpisać na nowo zbudowanym moście na Dunaju; pierwszego dnia rzeczywiście most nie nosił tej oryginalnej ozdoby, ale na drugi dzień, rybak płynący pod arkadami, obaczył podniósłszy głowę, ogromnemi literami wypisane na sklepieniu nazwisko: Kyselak.

Cesarz Franciszek kazał go raz przywołać do swego gabinetu, aby mu osobiście zabronić tej dziwacznej popularyzacji. Zapamiętały manjak z pokorną miną stojąc u biurka cesarskiego słuchał reprymendy, lecz kiedy już odszedł milczący — monarcha w dłonie plasnął z oburzenia: na biurku ogromnemi literami czernił się podpis Kyselaka.

Mnóstwo anegdotek ukuto na jego korzyść, z powodu tej manji podpisywania się wszędzie.

Była to niska, pękata figurka, pojawiająca się zawsze w towarzystwie dwóch ogromnych pudlów.

W hierarchji społecznej nie zajmował wyższego szczebla, pomimo swej popularności i rozgłosu; był „c. k. akcesistą registratury“.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.